

Tomasz MACZUGA

Prasa, książki, kino, teatr i cenzura w W adowicach na przełomie lat 50. i 60. ubiegłego wieku – wspomnienia ucznia

Nikt, kto żyje od najmłodszych lat z dostępem do kablowej telewizji i Internetu bombardowany, bezustannie coraz to atrakcyjniejszymi ofertami rynku mediów masowych, nie jest sobie w stanie wyobrazić, że 50-60 lat temu nie było Internetu, telewizji kablowej, telefonii komórkowej a stosunkowo nieliczne osoby posiadały telewizory. W radiu były dostępne dwa programy, telewizja emitowała jeden program (drugi program ogólnopolski uruchomiono dopiero w 1970 r.). Oferta mediów masowych (wtedy się jeszcze tak nie nazywały) dostępna przeciętnemu odbiorcy w tych czasach wydaje się więc niezwykle skromna w porównaniu do chwili obecnej. Określenie „skromna” nie oznacza automatycznie, że nie dostarczała równie intensywne wrażenia i przeżyć artystycznych co najbardziej wymyślne współczesne multimedia. Ponieważ oglądaliśmy mniej spektakli, czekaliśmy z dużym napięciem na każdy nowy film czy przedstawienie teatralne i dłużej pamiętaliśmy to, co obejrzelśmy. W świetnym teatrze radiowym występowali niejednokrotnie doskonali przedwojenni aktorzy. Część przekazu mediów służyła propagandzie PRL-u, ale jeśli idzie o ofertę kulturalną, to od 1956 r. była ona szczególnie bogata. Nadrabiano braki wczesnych lat 50., kiedy to dostęp do literatury, filmu i teatru zachodniego był bardzo ograniczony. Moje lata szkolne i licealne przypadły właśnie na przełom lat 50. i 60. ubiegłego wieku. Wiele faktów i przeżyć z tego okresu zatarło mi się w pamięci, ale te, które pamiętam, opiszę.

Wadowice liczyły wtedy około 9 tysięcy mieszkańców, a więc przeszło o połowę mniej niż obecnie. Pierwsze telewizory zaczęły się pojawiać w drugiej połowie lat 50. w najzamożniejszych domach inteligenckich. Radiodbiorniki były w prawie wszystkich domach. Oba programy ogólnopolskie odbierane były na falach długich lub średnich, nie było jeszcze wtedy odbiorników z falami ultrakrótkimi. Młodzież powszechnie słuchała na falach średnich lub krótkich Radia Luxembourg, kultowej, jakby się dzisiaj powiedziało, komercyjnej radiostacji nadającej non stop zachodnią muzykę młodzieżową.

Gazety codzienne i periodyki zwykle przynosił listonosz, prenumerata była wtedy dość powszechna. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień, dotyczących ówczesnej prasy, wiąże się z otwarciem pierwszego kiosku „Ruchu” na wadowickim Rynku. Pojawił się on trochę poniżej apteki pana Sowińskiego, koło dużej lipy naprzeciw późniejszego „Baru pod Lipą”. Było to pod koniec roku 1955. Pamiętam, z jaką fascynacją oglądałem okładkę grudniowego numeru miesięcznika „Poznaj świat”, wystawionego za szybą przez kioskarsza. Zdjęcie na okładce pokazywało australijskiego Aborygena siedzącego na drzewie z długą dzidą w ręce. W tych latach ukazywało się oczywiście o wiele mniej tytułów niż obecnie. Tygodniki liczyły maksymalnie po 24 strony. Nakłady zaś były przeważnie wyższe. Z tygodników ilustrowanych najpopularniejsze były: „Przekrój”, „Dookoła świata”, „Nowa Wieś” i „Panorama”, z tygodników dla kobiet: „Przyjaciółka” i „Kobieta i życie”, z pism dla dzieci i młodzieży: „Świerszczyk”, „Płomyczek” i „Płomyk”. Wśród pism popularno-naukowych czytanych przez młodzież szkolną i dorosłych wspomnieć należy miesięczniki: „Problemy” i „Młody Technik”. Wyróżniał się miesięcznik „Radar”, w którym pisywali

Mikołaj Kozakiewicz, Zbigniew Pietrasinski, Andrzej Drawicz i inni. Pismo to zamieszczało adresy młodych ludzi na świecie chcących nawiązać korespondencję z rówieśnikami w innych krajach. Były tam zamieszczone często artykuły w języku angielskim, niemieckim czy francuskim bez tłumaczenia.

Księgarnia wadowicka mieściła się przy Rynku, w tym samym lokalu, w którym była przed wojną księgarnia Foltina. W maju, w czasie „Dni Oświaty, Książki i Prasy” księgarnia wychodziła na zewnątrz i organizowała stoisko na Rynku albo na chodniku przed sklepem. Na stoisku można było kupić losy loterii książkowej i przecenione książki. Książki w tych czasach wydawane były przeważnie na dość lichym papierze i rzadko miały kolorowe ilustracje. Ale zdarzały się wyjątki. W 1955 r. ukazało się wydanie "Trzech Muszkieterów" Aleksandra Dumasa z kolorowymi ilustracjami na oddzielnych tablicach, autorstwa Jerzego Skarżyńskiego, wybitnego ilustratora i scenografa. W 1956 r. ukazał się pierwszy tom "Pięcioksiągu przygód Sokolego Oka" Jamesa Fenimore'a Coopera pod tytułem "Pogromca Zwierząt". Był to tom w dużym formacie, w półpłóciennym oprawie. Na okładce w kolorach podziwiać można było smukłego Indianina ze strzelbą stojącego na skale nad jeziorem i patrzącego na zachodzące słońce. W środku były kolorowe ilustracje na osobnych tablicach na lepszym papierze. "Pogromca Zwierząt" trafił w moje ręce w wyniku transakcji wiązanej. Kupili go dla mnie moi rodzice, ale pod pewnym warunkiem – zostałem jego szczęśliwym właścicielem dopiero po wypiciu dużej butelki tranu. Okładki ukazujące walki z Indianami i inne dramatyczne sceny oglądać można było w dużej liczbie na placu Kościuszki albo inaczej Rynku Zbożnym w prywatnej wypożyczalni „Kultura i Sztuka” pana Tadeusza Pawłęgi. Pan Pawłęga z wyglądu przypominający starego Ernesta Hemingwaya, z bujną siwą czupryną i jeszcze bujniejszą siwą brodą, w ciągu dnia wraz z żoną handlował na targu warzywami, a wieczorem zamieniał się w bibliotekarza. Wytapetował wąskie, ale bardzo wysokie wystawowe okno swojej wypożyczalni okładkami powyrywanych z książek. Książki oprawione jednolicie w szary papier pakunkowy można było wypożyczyć za niewielką opłatą. Były to wydane przed wojną powieści kryminalne, sensacyjne, o Indianach i kowbojach itp. Szczególnie dużo było książek Karola Maya, słynnego niemieckiego autora powieści o Dzikim Zachodzie. May Amerykę odwiedził dopiero cztery lata przed śmiercią. Jako młody człowiek, skazany za drobne kradzieże odkrył swój talent pisarski w niemieckim więzieniu. Na świecie sprzedano 200 milionów egzemplarzy jego książek i do dzisiaj ma on wielu oddanych czytelników. Po październiku 1956 r. wydano w Polsce w trzech tomach jego najsłynniejszą powieść o szlachetnym czerwonoskórym wojowniku "Winnetou" oraz jej sequel "Old Shatterhand". Tadeusz Pawłęga miał kilkadziesiąt innych książek Karola Maya w tym: "Skarb w Srebrnym Jeziorze", "Czarnego Mustanga", "Szatana i Judasza", "Syna Łowcy Niedźwiedzi". Książki te wycofano we wczesnych latach 50. z bibliotek państwowych. Były też nieindiańskie książki tego autora: "Ród Rodrigandów" i inne. Oprócz Maya wystawa prezentowała szeroki wachlarz wydawnictw przedwojennej Biblioteki Groszowej. Do dzisiaj pamiętam okładkę jakiegoś historycznego horroru: "Krwawa Pani na Czachcicach". Przedstawiała półnagą, załamującą skute łańcuchami ręce młodą kobietę uwięzioną w lochu, przed nią stała wyniosła, bogato ubrana szlachcianka, pochodnię trzymała w ręku karzeł o wyglądzie potwora. Książka opowiadała legendarną historię Elżbiety Batorówny (1560-1614), która uwierzyła, że wieczną młodość zapewnia codzienna kąpiel w krwi wytoczonej z dziewic. Przez ponad dwadzieścia lat polowała na młode dziewczęta, które ginęły w jej zamku

podczas strasznych tortur. Dzisiaj byłby z tej książki na pewno zrobiony film z realistycznymi scenami torturowania. Oprócz literatury przygodowej i kryminalnej właściciel wypożyczalni „Kultura i Sztuka” miał w ofercie wiele pozycji literatury bardziej wartościowej. Chętnie rozmawiał z klientami, w tym z uczniami, potrafił doradzić.

Kino wadowickie mieściło się koło hotelu „Beskid” i nazywało się „Szarotka”. Wyświetlało dwa seanse dziennie. Były to lata popaździernikowej odwilży politycznej 1956 r. Pojawiło się wiele atrakcyjnych filmów amerykańskich i francuskich, w tym kolorowe filmy muzyczne: „Amerykanin w Paryżu”, „Deszczowa Piosenka” (z Gene Kellym), „Gigi” (z Leslie Caron), filmy z Dzikiego Zachodu: „Indiański wojownik” (z Burtem Lancastrem), „W samo południe” (z Gary Cooperem i późniejszą księżną Monaco Grace Kelly). Filmy te docierały do Wadowic zwykle parę miesięcy, a czasem i pół roku po premierze w Warszawie czy Krakowie. Gdy ktoś chciał się zapoznać z recenzją filmu napisaną przez Lucjana Kydryńskiego w „Przekroju” musiał czasem długo jej szukać w numerach archiwalnych. Film grany był zwykle pół tygodnia lub cały tydzień. Może nie wszyscy młodzi ludzie wiedzą, że film poprzedzony był Kroniką Filmową, czyli przeglądem wydarzeń tygodnia w kraju i na świecie oraz dodatkiem. Kronika często prezentowała materiały propagandowe PRL, ale bywały w niej także ciekawe i dowcipne klipy na różne tematy. Dodatek był po prostu filmem krótkometrażowym na tematy zupełnie nie związane z głównym filmem wieczoru, czasem atrakcyjnym i ciekawym, a czasem nudnym. Kino prawie zawsze było pełne. Młodzież szkolna mogła uczęszczać samodzielnie (bez rodziców) na wcześniejsze seanse, oczywiście na filmy dozwolone. Jeśli na seansie wieczornym młodociany delikwent został zauważony przez nauczyciela, był nieraz wypraszany z kina w trakcie seansu, co oczywiście było traumatycznym przeżyciem. Jednym z wyprowadzających samotnych uczniów z wieczornych seansów był nauczyciel matematyki ze szkoły podstawowej, pan Lubowicz, mężczyzna słusznego wzrostu i o dość groźnym wyglądzie.

Aktywnie działał Powiatowy Dom Kultury, gdzie imprezy organizowane były jak i obecnie na dwóch salach: Kameralnej, gdzie odbywały się odczyty, i Teatralnej, gdzie grane były spektakle teatralne i miały miejsce występy estradowe i kabaretowe. Pamiętam wywieszony na słupach ogłoszeniowych w mieście afisz kabaretu „Pinezka”, na którym wytluszczone było następujące zdanie: *... po występach w Paryżu, Londynie i Berlinie kabaret architektów „Pinezka” wystąpi w sali Powiatowego Domu Kultury w Wadowicach ze swoim najnowszym programem...* Nie byłem chyba na tym występie, w każdym razie nie pamiętam, ale powyższy tekst na pewno zwiększał uczucie dumy ze swojego miasta i jego instytucji. W kabarecie „Pinezka” występowały między innymi: Rena Rolska, Maria Koterbska i Halina Kunicka. Odczyty lub spotkania z podróżnikami odbywały się na sali Kameralnej. Jeśli odczyt dotyczył jakiegoś autora, zwykle obok prelegenta mówiącego o biografii i twórczości pisarza, występował także aktor lub aktorka scen krakowskich, którzy czytali wybrane fragmenty utworów literackich. W moim uczniowskim kalendarzu z roku 1957/1958 zanotowałem tytuły odczytów i spotkań z podróżnikami, w których brałem udział (nie zanotowałem niestety nazwisk prelegentów i podróżników): „Moje wrażenia z Kenii”, „Moje wrażenia ze Szpicbergenu”, „Moje wrażenia z Brazylii”, „Moje wrażenia z Grecji”, „Wieczór literacki o Jacku Londonie”, „Wieczór literacki o Józefie Conradzie Korzeniowskim”, „Wieczór poetycki – Juliusz Słowacki”, „Jan Matejko”, „Tatry poetów i poeci Tatr”. Jak widać repertuar był zróżnicowany, a jeśli chodzi

o literaturę nacisk położony był wyraźnie na klasyków.

Ważnym wydarzeniem teatralnym był niewątpliwie występ Mieczysławy Ćwiklińskiej w sztuce „Drzewa umierają stojąc” Alejandro Casony (1900-1965), hiszpańskiego dramaturga, przyjaciela Federica Garcii Lorki. Gdy występowała w Wadowicach miała blisko 80 lat. Nie przestała grać tej roli do końca życia. Zmarła w 1972 r. w wieku 93 lat, a rok wcześniej była ze sztuką Casony w ośrodkach polonijnych w Ameryce Południowej. Jej występ w Wadowicach zrobił duże wrażenie – publiczność dziękowała Ćwiklińskiej owacją. Często występował na deskach wadowickiego domu kultury teatr z Bielska, teatry krakowskie, a także różne sceny objazdowe. Szczególnie utkwił mi w pamięci, ze względu na moją niezwykłą przygodę, występ Państwowej Opery Objazdowej z Warszawy. Była to instytucja muzyczna, w której występowali wybitni artyści i artystki, m.in. Bogna Sokorska i zmarła niedawno Teresa May-Czyżowska. Opera Objazdowa przyjechała do Wadowic z „Madame Butterfly” Pucciniego. Wybrałem się na spektakl razem z ojcem. Miałem 12 lat. Byłem wielkim miłośnikiem opery, której słuchałem w radio, byłem też już w Krakowie na paru spektaklach. Jakie było zdziwienie moje i ojca, gdy sprawdzający bilety starszy pan nie wpuścił mnie do środka, twierdząc, że to spektakl nie dla dzieci. Mój ojciec należał do osób, które z zasady nie kwestionowały decyzji urzędowych. Odstąpiliśmy bilet osobie, która chciała wejść, a nie miała biletu, i dostałem polecenie powrotu do domu. Moje rozczarowanie było tak wielkie, że zacząłem popłakiwać, mając poczucie niesłusznie mnie spotykającej szykany. W końcu znałem treść opery i nie zawierała ona według mnie niczego niestosownego dla młodego widza. Harakiri popełniane przez bohaterkę na końcu opery nie było w tych czasach przedstawiane realistycznie, co zdarza się we współczesnych inscenizacjach. Pochlipującego ucznia zauważył przechodzący dyrektor PDK pan Kaczmarek. Zapytał ojca, co się stało. Gdy się dowiedział, skinął na mnie i kazał pomaszerować za sobą. Minęliśmy biletera, który widząc dyrektora, tym razem nie protestował i weszliśmy za kulisy. Panował tam ruch, ostatnie przygotowania, kończono montaż dekoracji. Czulo się napięcie przed występem. I wtedy podszedł wysoki, przystojny, uśmiechnięty pan w białym mundurze oficera marynarki amerykańskiej i przywitał się ze mną. Był to sam porucznik Pinkerton. Ten sam, w którym zakocha się nieszczęśliwie piękna Japonka – Madame Butterfly. Potem na dostawianym krześle umieszczono mnie na balkonie w dobrym do oglądania miejscu. I – dzięki dyrektorowi Kaczmarce – takim niezapomnianym happy endem zakończyła się dla mnie cała ta historia.

O dyrektorze Powiatowego Domu Kultury Janie Kaczmarce muszę jeszcze wspomnieć kilka słów jako bibliofil. Był on jednym z inicjatorów wydania w Wadowicach druku bibliofilskiego z tekstem poematu Emila Zegadłowicza „Chleb i wino”. Wadowice przedwojenne słynęły ze swoich starannych, niskonakładowych, bibliofilskich wydań utworów Emila Zegadłowicza realizowanych przez oficynę Foltina w latach dwudziestych. Po wojnie jedyna inicjatywa wydania w naszym mieście druku bibliofilskiego wyszła właśnie z Powiatowego Domu Kultury. Ukazał się on w 1960 r. w 100 numerowanych egzemplarzach i był reprintem pierwszego wydania tego utworu Zegadłowicza, opublikowanego w Poznaniu w 1930 r. z okazji otwarcia Biblioteki Jana Kasprzowicza w tamtejszym Muzeum Miejskim. Poemat poświęcony był właśnie Kasprzowiczowi. Wadowicki reprint opatrzony został w dwa podpisy dwóch Marii: Zegadłowiczowej i Kasprzowiczowej. Z edytorskiego punktu widzenia druk był niezwykle skromny. Mimo to

wywołał duże zainteresowanie i należy dzisiaj do wielkich rzadkości antykwarycznych.

W tych kilku wspomnieniach rzuca się w oczy częsta obecność cenzury obyczajowej w życiu ucznia. Przestrzeganie jej zakazów odbywało się nieraz z inicjatywy indywidualnej dorosłych, a niekoniecznie z urzędu. W tym samym domu kultury, gdzie bileter nie chciał mnie wpuścić na „Madame Butterfly”, funkcjonowała wypożyczalnia Biblioteki Miejskiej. Pewnego dnia bibliotekarka wyjęła mi z ręki książkę, którą chciałem pożyczyć, ze słowami „to książka nie dla ciebie, moje dziecko”. Miałem wtedy 12 albo 13 lat. Do dzisiaj pamiętam to zdarzenie, bo nie wiedziałem, dlaczego zdaniem bibliotekarki nie powinienem był tej książki przeczytać. Była to książka z popularnej serii przygodowej „Naokoło Świata” pod tytułem „Leo Valentin – człowiek ptak”: opowieść biograficzna o francuskim miłośniku lotnictwa i spadochroniarstwa, który dokonywał lotów, używając specjalnie skonstruowanych skrzydeł. Valentin zginął na pokazie lotniczym w Anglii w 1956 r. Skrzydła zawiodły, a spadochron się nie otworzył. Może pani bibliotekarka chciała mnie chronić przed niebezpiecznym hobby i ryzykownym zawodem, który uprawiał Valentin? Czy my, ówcześni uczniowie, bardzo cierpieliśmy z powodu tej cenzury? Nie mam takiego wrażenia. Młodość szybko przechodziła do porządku dziennego nawet nad całkiem głupimi zakazami. Tyle było naokoło innych, równie ciekawych rzeczy. A w miarę upływu lat bileterzy „Szarotki” wpuszczali nas na filmy dozwolone od 14, 16 i w końcu od 18 lat.